

Każdy człowiek ma...

Każdy człowiek ma do przeżycia swoje życie i tylko swoje. Żadnego innego przeżyć nie może. Sam też bierze odpowiedzialność za swoje sprawy, a przynajmniej tak być powinno – tak jest zdrowo. Nie można cedować własnej odpowiedzialności na kogoś innego. To znaczy można, ale to niczego nie zmieni i nic nie da. Nikomu nie przysporzy ani szczęścia, ani ulgi. To daremne. Obarczanie kogoś jest równoznaczne z uniewinnianiem samego siebie. Ani jedno, ani drugie nie ma sensu. To ciężka energia. Nawet, jeżeli przyniesie chwilową ulgę, nie wywoła zmiany. Najczęściej wręcz zmianę opóźnia. Przenosi uwagę w obszary „poza własnym wpływem” i jest zapraszaniem do swojego życia następnej mrzonki. Zaowocuje najpewniej nową frustracją. Może coś uzasadni, ale niczego nie rozwiąże.

Sama potrzeba obarczania jest oznaką nacisku lub oporu. Bez różnicy. Znaczy, że w środku jest nieład, a na zewnątrz zaprzeczanie, że ten nieład jest. Poprzez szukanie tematów zastępczych objawia się lęk przed spojrzeniem w siebie. Najczęściej i dla większości ludzi jest to podstawowy sposób na uciekanie od siebie samego, bowiem wygodniej jest przyglądać się komuś niż sobie – zwłaszcza, że w sposób krytyczny. Nawet, jeżeli nie zmieni to tej drugiej osoby, to daje poczucie ważnego działania. Ale jest to jedynie poczucie.

Zupełnie umyka uwadze, że to działanie nie ma sensu. Właściwie nazywanie tego działaniem jest już abstrakcją. Tani i wątpliwy sposób na polepszanie własnego wizerunku.

Umniejszanie komuś jest najdłuższą z dróg do wewnętrznego spokoju, jeżeli w ogóle może do niego doprowadzić.

Nie twierdzę, że intencje są nieszczerze lub „złe”, wręcz przeciwnie, mogą być bardzo dobre, jednak sposób działania nie jest najlepszy. Pochłania całe mnóstwo energii, a nie przynosi oczekiwanych owoców. Właściwie kłopot polega na tym, że przynosi dodatkowo wiele niepożądanych i zaskakujących skutków. Mogą one boleć zupełnie nowym bólem lub powiększać ból już istniejący.

Na poziomie przenośni można powiedzieć, że jest to „reanimowanie potwora” po to, by go unicestwić. Przychodzi mi na myśl pewna opowieść o uczniach Jezusa, którzy chcieli, aby ich Mistrz wyjawiał im to słowo, którego używa, by wskrzeszać zmarłych. Jezus nie chciał tego uczynić i tłumaczył swym uczniom, że nie są gotowi, by poznać to słowo. Lecz oni przekonywali go, że się myli. W końcu Jezus wyjawiał im „ożywcze” słowo ostrzegając, że używanie go wymaga nie tylko wiary, ale i wielkiej mądrości. Pouczeni uczniowie ruszyli w świat. Widocznie zapomnieli nauki swego Mistrza, ponieważ przy pierwszej „stercie” zbielałych kości, którą napotkali na swej drodze przez pustkowie, postanowili sprawdzić moc słowa. Więc stanęli wszyscy wokół i mając dobre intencje oraz głęboką wiarę wypowiedzieli owo słowo. Było prawdziwe. Zadziałało błyskawicznie. Natychmiast kości przyoblekły się w ciało. Pośród nich stanął wielki stwór i ich pożarł. No cóż zabrakło im rozwagi, mądrości i pokory.

Wnioski pozostawię ciszy.

Posiadanie wiedzy jeszcze niczego nie załatwia. Sposób jej używania decyduje o efektach. Nie zawsze dobre intencje wystarczą. Czasem dobrze jest sprawdzić jej moc w milczeniu, zanim doświadczy się jej miazdzącej siły wskrzeszając potwora.

Wciąż myślimy, że wiedza jest nam dana w celu doskonalenia innych. Mylny wniosek.

Wiedza jest nam dana, by doskonalic samego siebie.

Jeżeli użyjemy swej wiedzy w sposób należyty, rzesze podążą naszym śladem. Jedynie tak to działa.

Wyobraź sobie człowieka, który uczy innych pływania, a sam pływać nie potrafi. Stoi na brzegu i wykrzykuje, że źle machasz rękami lub w ogóle wszystko robisz źle. On cię uczy, czy poucza?

Spotkałem wielu taksówkarzy, którzy lepiej kierowaliby krajem, chociaż własnym samochodem kierowali żałośnie.

Spotkałem wielu nauczycieli, którzy zreformowaliby biznes, chociaż ledwie starczało im od pierwszego do pierwszego.

Spotkałem wielu sprzedawców, którzy byłiby lepsi od swoich menedżerów i menedżerów, którzy byłiby lepsi od swoich szefów.

I tak dalej...

Spotkałem wielu teoretyków sztuki życia i zapewne nie tylko ja.

Dziś w nocy stanąłem przed lustrem i spotkałem następnego mędrca, który rozśmieszył mnie do łez. Broń Boże nie dlatego, że mówił głupie rzeczy – mądrze gadał. Niestety mówił wciąż: „gdyby ON, gdyby ONA, gdyby ONI...”, zamiast mówić „gdybym JA”. Lecz ONI nie mogli usłyszeć – nie było ich tu.

Większość z nas ma taką niesamowitą zdolność doradzania innym, co i jak powinni robić ze swoim życiem. Może czas stanąć przed lustrem i podradzać sobie?

Przed lustrem?

Tak!

**To jest najlepsze miejsce do prawienia kazań,
a może nawet jedyne.**

Poza tym jest to świetny test skuteczności. Jeżeli bowiem ten człowiek cię wysłucha i dokona zmian, to robi to każdy inny. To jedyna dobra kolejność. Natomiast, jeżeli ten Człowiek nie poświęci Ci uwagi, by Cię wysłuchać, to dlaczego Ktoś Inny miałby to uczynić?

Dlaczego tak bardzo unikamy, dlaczego tak bardzo boimy się spojrzeć prawdzie w oczy? Prawdzie, czyli sobie. Czyżbyśmy nie mogli sobie ufać? A może nam się wydaje, że świat się zawali, gdy to zrobimy? Nie zawali się, ale jedyny sposób, by to sprawdzić, to samemu tego doświadczyć.

Chodzimy po tej ziemi i wszędzie szukamy „swojego potwora”. Dlaczego go szukamy? Odpowiedź jest dość prosta. On odpowiada za wszystkie nasze nieszczęścia i niepowodzenia. Wydaje się nam, że gdy go znajdziemy, to go zmienimy i nasze problemy znikną. Widzimy go wszędzie – w tym człowieku i w tamtym, a za chwilę w jeszcze innym. Więc, gdy go widzimy natychmiast chcemy go zmienić – zgodnie z planem. Kiedy odkrywamy, że się nie daje, to mówimy sobie, że to pewnie nie był „nasz potwór”, tylko cudzy i znów szukamy. Tak zapadamy się w coraz większej fikcji.

Oczywiście to był „nasz potwór”. Zapewniam Cię, że jeżeli widziałeś kiedykolwiek „potwora” w jakimś człowieku, to był to na pewno „twój potwór”. Nie widzimy cudzych potworów. Każdy widzi tylko jednego potwora – swojego – nawet jeżeli widzi go w milionach twarzy. Kłopot polega na tym, że go widzimy i nie widzimy jednocześnie. Precyzyjnie rzecz ujmując

widzimy jego odbicie – jak w lustrze. Zrozum, nie możesz go zobaczyć „twarzą w twarz” – „oko nie może zobaczyć samo siebie”.

Mówię Ci, jeżeli chcesz zobaczyć „swojego potwora”, to po prostu stań przed lustrem. Poznaj tego, który Cię pożarł. Ale spryciarz – zobacz jak się ukrył.

Od tego momentu nie będziesz potrzebował chodzić i szukać gdzie on jest. Nie będziesz go potrzebował zobaczyć w innych ludziach. Dowiesz się kim należy się zająć. To jest bowiem jedyny „potwór”, którym możesz i masz się zająć. To jest jedyny „potwór”, który rujnuje twoje życie. Zapewniam Cię, tylko tego zdołasz zmienić i jedynie ty sam. Nikt tego za Ciebie nie dokona.

Pojawiają się trzy pytania i są bardzo proste:

**Jeżeli nie Ja, to kto?
Jeżeli nie Tu, to gdzie?
Jeżeli nie Teraz, to kiedy?**

Pamiętaj, że każdy człowiek ma do przeżycia swoje życie i tylko swoje. Przestań szukać odpowiedzialnych lub winnych poza sobą. Nie ma ich.

Twoje życie to jedynie Twoja odpowiedzialność.

Dopóki tego nie rozumiesz, niczego nie rozumiesz.

I rzeczywiście trzeba być potworem, by samemu – sobie samemu odmawiać prawa do szczęścia.

W rzeczywistości liczba chorych na kuli ziemskiej równa się liczbie uzdrowicieli. Jednak każdy sam podejmuje decyzję, czy jest tylko chorym, czy stanie się też swoim uzdrowicielem. Dopiero, gdy uzdrawia się samego siebie można **być pomocnym** innym ludziom. Taka jest kolejność.

Być pomocnym oznacza być przykładem.

Piotr Pilipczuk